DODATEK LITERACKI I OGÓLNOKSZTAŁCĄCY „DZIENNIKA BERLIŃSKIEGO“

Rok 1924 Nr. 10

JULJUSZ SŁOWACKI.

Hymn o zachodzie słońca na morzu.

Smutno mi, Boże! Dla mnie na zachodzie
Rozlałeś tęczę blasków promienistą;
Przede mną gasisz w lazurowej wodzie
Gwiazdę ognistą.
Choć mi tak niebo ty złocisz i morze
Smutno mi, Boże!

Jak puste kłosy z podniesioną głową,
Stoję rozkoszy próżen i dosytu;
Dla obcych ludzi mam twarz jednakową
Ciszę błękitu.
Ale przed Tobą głąb serca otworzę,
Smutno mi, Boże!

Jako na matki odejście się żali
Mała dziecina, tak ja płaczu blizki,
Patrząc na słońce, co mi rzuca z fali
Ostatnie błyski,
Choć wiem, że jutro błyśnie nowe zorze,
Smutno mi, Boże!

Dzisiaj na wielkim morzu obłąkany,
Sto mil od brzegu i sto mil przed brzegiem
Spotkałem lotne w powietrzu bociany
Długim szeregiem:
Żem je znał kiedyś na polskim ugorze,
Smutno mi, Boże!

Żem często dumał nad mogiłą ludzi,
Żem nie znał prawie rodzinnego domu,
Żem był, jak pielgrzym, co się w drodze trudzi
Przy blaskach gromu,
Że nie wiem, gdzie się w mogiłę położę,
Smutno mi, Boże!

Ty będziesz widział moje białe kości,
W straż nieoddane kolumnowym czołom;
Alem jest, jako człowiek, co zazdrości
Mogił.... popiołom.
Więc, że nieznane gotujesz mi łoże,
Smutno mi, Boże!

Kazano w kraju niewinnej dziecinie
Modlić się za mnie codzień, a ja przecie
Wiem, że mój okręt nie do kraju płynie,
Płynąc po świecie.
Więc, że modlitwa dziecka nic nie może,
Smutno mi, Boże!

Na tęczę blasków, która tak ogromnie
Anieli Twoi w niebie rozpostarli,
Nowi gdzieś ludzie w sto lat będą po mnie,
Patrzący, marli....
Niech się przed moją nicością ukorzę,
Smutno mi, Boże!

HENRYK SIENKIEWICZ.

Łowy w puszczy.

Biegli leśnicy poczęli pod wodzą wielkiego łowczego rozstawiać myśliwych długim rzędem na skraju polany tak, aby będąc sami w ukryciu, mieli przed sobą pustą przestrzeń, ułatwiającą strzały z kusz i łuków. Dwa krótsze boki polany obstawione były sieciami, za któremi taili się borowi, „nawrotnicy“, których obowiązkiem było nawracać zwierza ku strzelcom, lub, jeśli nie dając się spłoszyć, zapłatywał się w sieciach, dobijać go oszczepami. Nieprzeliczone gromady Kurpiów, umiejętnie rozstawione w tak zwaną otokę, miały pędzić wszelkie żywe stworzenie z głębi leśnych na polanę. Za strzelcami znów znajdowała się sieć, rozpięta w tym celu, by zwierz, który zdoła przedrzeć się przez ich szereg, został nią powstrzymany i w jej skrętach dobity.

Książę stanął w pośrodku szeregu w lekkiem zagłębieniu, które biegło przez całą szerokość polany. Główny łowczy, Mrokota z Mocarzewa, wybrał mu to stanowisko, wiedząc, że tem właśnie wgłębieniem będzie pomykał przed otoką najgrubszy zwierz z puszczy. Sam książę miał w ręku kuszę, tuż pod bokiem pana stał oparty o drzewo ciężki oszczep, a nieco z tyłu trzymali się dwaj „brońcy“ z toporami na ramionach, ogromni, do pni leśnych podobni, którzy, prócz toporów, mieli jeszcze gotowe napięte kusze dla podania księciu w razie potrzeby. Księżna i panny dworskie nie zsiadały z koni, albowiem nie zezwalał na to nigdy książę ze względu na niebezpieczeństwo od turów i żubrów, przed których wściekłością łatwiej się było w razie wypadku chronić konno, niż pieszo. De Lorche, lubo wezwany przez księcia, aby zajął miejsce po prawej jego stronie, prosił, aby mu wolno było zostać dla obrony dam na koniu, i stał opodal księżnej, do długiego gwoździa podobny, z rycerską kopją, z której podrwiwali z cicha pod wąsem Mazurowie, jako z broni mało na łowach przydatnej. Zbyszko zaś wbił oszczep w śnieg, kusze przekręcił na plecy i stał także przy koniu księżnej ku obronie kobiet.

Tymczasem daleko, daleko w głębi puszczy ozwały się rogi kurpieskie, którym z polany odpowiedział krótko wrzaskliwy głos krzywuły — poczem nastała cisza zupełna. Ledwie niekiedy zaskrzeczała sójka w wierzchołkach sosen, niekiedy zakrakali jak kruki ludzie z otoki. Myśliwi wytężyli oczy na białą pustą przestrzeń, na której wiatr poruszał oszronionem sitowiem i bezlistnymi krzami wikliny, — każdy czekał z niecierpliwością, jaki też pierwszy zwierz pojawi się na śniegu, — wogóle zaś wróżono sobie łowy obfite i wspaniałe, gdyż puszcza roiła się od żubrów, turów, dzików. Kurpie wykurzyli też z barłogów i kilka niedźwiedzi, które zbudzone w ten sposób, chodziły po gąszczach złe, głodne i czujne, domyślając się, że wkrótce przyjdzie im stoczyć walkę nie o spokojny sen zimowy, ale o życie.

Trzeba było jednak czekać długo, gdyż ludzie, którzy parli zwierza ku klamrom otoki i ku polanie, zajęli ogromny szmat boru i szli z tak daleka, że do uszu myśliwych nie dochodziło nawet szczekanie psów, które zaraz po odezwaniu się trąb spuszczone zostały ze smyczy. Jeden z nich, spuszczony widocznie za wcześnie, albo też włóczący się luzem za chłopami, ukazał się na polanie, i przebiegłszy ją cała z nosem ku ziemi, przeszedł między myśliwcami. I znów uczyniło się pusto i cicho, tylko nawrotnicy krakali ciągle, jak krucy, dając w ten sposób znać, że wkrótce robota się rozpocznie. Jakoż po upływie kilku pacierzy na skraju pojawiły się wilki, które, jako najczujniejsze, pierwsze usiłowały się wynieść z obieży. Było ich kilka. Ale wypadłszy na polanę i zawietrzywszy wokół ludzi, dały znów nurka w bór, szukając widocznie innego wyjścia. Potem dziki, wynurzywszy się z kniei, poczęły biedz długim czarnym łańcuchem przez zaśnieżoną przestrzeń, podobne z dala do swojskiej trzody chlewnej, która na wołanie gospodarnej niewiasty zdąża, trzęsąc uszyma, ku chacie. Ale łańcuch ów zatrzymał się, słuchał, wietrzył — zawracał i znów słuchał; wyboczył ku sieciom i poczuwszy nawrotników, znów puścił się ku myśliwym, chrapiąc, zbliżając się coraz ostrożniej, ale coraz bardziej, póki wreszcie nie rozległ się szczęk żelaznych zastawników przy kuszach, warkot grotów, i póki pierwsza krew nie splamiła bladej śnieżystej pościeli.

Wówczas rozległ się okrzyk i stado rozproszyło się, jakby w nie piorun uderzył; jedne poszły naoślep przed siebie, drugie rzuciły się ku sieciom, inne poczęły biegać to w pojedynkę, to po kilka, mieszając się z innym zwierzem, od którego zaroiła się tymczasem polana. Już też dochodziły wyraźnie do uszu głosy rogów, ujadania psów i daleki gwar ludzi, idących w głównej ławie z głębi boru. Mieszkańcy leśni, odpędzani z boków przez rozciągnięte szeroko w puszczy skrzydła otoki, zapełniali coraz szczelniej leśną łąkę. Nic podobnego nie można było zobaczyć nietylko w krajach zagranicznych, ale nawet i w innych ziemiach polskich, w których nie było już takich puszcz, jak na Mazowszu. Krzyżacy, chociaż bywali na Litwie, gdzie czasem zdarzało się, że żubry, uderzając na wojsko, sprawiały w niem zamieszanie — dziwili się niepomału tej niezmiernej ilości zwierza, a zwłaszcza dziwił się pan de Lorche. Stojąc przy księżnej i dwórkach jak żóraw na straży, a nie mogąc się z żadną rozmówić, począł on już był nudzić się, marznąć w swej żelaznej zbroi i mniemać, że łowy chybiły. Aż oto ujrzał przed sobą całe stada lekkonogich sarn, płowych jeleni i łosiów, o łbach ciężkich, ukoronowanych, pomieszane z sobą, wichrzące po polanie, oślepione trwogą i szukające napróżno wyjścia. Księżna, w której na ten widok zagrała Kiejstutowa ojcowska krew, wypuszczała grot za grotem w ową pstrą ciżbę, pokrzykując z radości za każdym razem, gdy ugodzony jeleń lub łoś wspinał się w pędzie do góry, a następnie walił się ciężko i kopał śnieg nogami. Inne dwórki pochylały też często twarze ku kuszom, albowiem wszystkie ogarnął zapał myśliwski.

Lecz uwagę pana de Lorche zwrócił ogromny, siwy na karku i łopatkach niedźwiedź, który niespodzianie wychynął z szuwarów w pobliżu strzelców. Książę strzelił do niego z kuszy, a następnie wypadł do niego z oszczepem, i gdy zwierz podniósł się na zadnie łapy, rycząc okropnie, — skłuł go na oczach całego dworu tak sprawnie i szybko, iż żaden z dwu „brońców“ nie potrzebował użyć topora. Pomyślał tedy młody Lotaryńczyk, że jednak niewielu panów, na dworach których bawił po drodze, ważyłoby się na taką zabawę. Lecz w dalszym ciągu zobaczył skłute w ten sposób przez innych myśliwych srogie białokływe odyńce, ogromne, daleko większe i zacieklejsze od tych, na które polowano w lasach Niższej Lotaryngji i w puszczach niemieckich. Tak wprawnych i dufnych w siłę dłoni łowców, ani też takich uderzeń oszczepem nie widział pan de Lorche nigdzie — co, jako człowiek bywały, tłumaczył sobie tem, że wszyscy ci, wśród niezmiernych borów siedzący ludzie, przywykają od dziecięcych lat do kuszy i oszczepu — zaczem i do większej w ich użyciu dochodzą od innych biegłości.

Polana usłała się wreszcie gęsto trupami wszelkiego rodzaju zwierząt, lecz łowom daleko jeszcze było do końca. złożenia blach, nie można było znaleźć innych. Tur mścił się głównie na koniu, który leżał obok, już martwy, mając Owszem, najciekawsza a zarazem najbardziej niebezpieczna ich chwila miała dopiero nadejść, gdyż otoka wparła właśnie na pustać kilkanaście żubrów i turów. Chociaż w lasach trzymały się one zwykle osobno, szły teraz pomieszane razem, ale bynajmniej nie oślepłe z trwogi, raczej groźne, niż przerażone. Nie szły też zbyt szybko, jakby pewne w poczuciu okrutnej siły, że złamią wszelkie zapory i przejdą, — ziemia jednak zaczęła dudnić pod ich ciężarem. Brodate byki, idące na czele gromady, ze łbami nizko nad ziemią, zatrzymywały się chwilami, jakby rozważając, w którą stronę uderzyć. Z potwornych ich płuc wydobywał się głuchy ryk, do podziemnego grzmotu podobny, z nozdrzów dymiło parą, a kopiąc śnieg przedniemi nogami, zdawały się upatrywać z pod grzyw krwawemi oczyma ukrytego nieprzyjaciela.

Tymczasem nawrotnicy podnieśli ogromny krzyk, któremu od strony głównej ławy i od skrzydeł otoki odpowiedziały setki gromkich głosów; zawrzały rogi i piszczałki, zadrżała puszcza aż hen do najdalszych głębin, a jednocześnie wypadły na polanę ze strasznym harmidrem, goniące po tropie, psy kurpieskie. Widok ich wprawił w mgnieniu oka we wściekłość samice, mające przy sobie młode. Idące dotąd zwolna stado rozproszyło się w szalonym pościgu po całej polanie. Jeden z turów, płowy, olbrzymi, niemal potworny byk, ogromem żubry przenoszący, puścił się w ciężkich skokach ku szeregowi strzelców, zawrócił ku prawej stronie polany, poczem ujrzawszy o kilkadziesiąt kroków między drzewami konie, zatrzymał się i hucząc, począł orać rogami ziemię, jakby podniecając się do skoku i walki.

Na ten straszny widok nawrotnicy podnieśli krzyk jeszcze większy, w szeregu zaś myśliwych ozwały się przeraźliwe głosy: — „Księżna! księżna! ratujcie panią!“ Zbyszko porwał za utkwiony w śniegu oszczep i skoczył na skraj lasu; za nim skoczyło kilku Litwinów, gotowych zginąć w su;obronie córki Kiejstuta, — a wtem zgrzytnęła w rękach pani kusza, zaświszczał grot i przeleciawszy ponad schylonym łbem zwierzęcia, utkwił w jego karku.

— Dostał! — zawołała księżna — nie pójdzie...

Ale dalsze jej słowa zgłuszył ryk tak straszliwy, że aż konie przysiadły na zadach. Tur rzucił się, jak burza, wprost na panią, lecz nagle z niemniejszym pędem wypadł z pomiędzy drzew mężny pan de Lorche i pochylony na koniu, z kopją wyciągniętą jak na rycerskim turnieju, runął wprost na zwierza.

Obecni ujrzeli przez jedno mgnienie oka kopję, utkwioną w karku byka, która wnet wygięła się jak pałąk i prysła w drobne złamki, zaczem olbrzymi rogaty łeb zniknął całkiem pod brzuchem konia pana de Lorche, i zanim kto z obecnych zdołał wykrzyknąć, rumak i jeździec wylecieli jak z procy w powietrze.

Koń, spadłszy na bok, począł bić w przedśmiertelnych drgawkach nogami, oplątując je we własne wyprute trzewia; pan de Lorche leżał w pobliżu bez ruchu, podobny na śniegu do żelaznego klina; tur zaś zdawał się przez chwilę wahać, czy nie pominąć ich i nie uderzyć na inne konie, lecz mając tuż przed sobą te pierwsze ofiary, zwrócił się znów ku nim i jął pastwić się nad nieszczęsnym rumakiem, gniotąc go łbem i orząc z wściekłością rogami jego otwarty brzuch.

Z boru jednakże sypnęli się ludzie na ratunek obcego rycerza. Zbyszko, któremu chodziło o ochronę księżnej, dobiegł pierwszy i wbił ostrze oszczepu pod łopatkę zwierzęcia. Lecz uderzył z takim rozmachem, że oszczep przy nagłym zwrocie tura pękł mu w ręku, on sam zaś upadł twarzą w śnieg. „Zginął! zginął!“ — ozwały się głosy biegnących z pomocą Mazurów. Tymczasem łeb byka pokrył Zbyszka i przycisnął go do ziemi. Od strony księcia już nadbiegli dwaj potężni „brońcy“ — byliby jednak przybyli za późno, gdyby na szczęście nie uprzedził ich dworzanin Hlawa, Czech rodem. Ten dopadł przed nimi i podniósłszy oburącz szeroki topór, ciął w pochylony kark tura tuż za rogami.

Cięcie było tak straszne, że zwierz runął, jak gromem rażony, z przerąbanymi kręgami i łbem niemal do połowy odwalonym; lecz padając, przygniótł Zbyszka. Obaj „brońcy“ odciągnęli w mgnieniu oka potworne cielsko, a tymczasem księżna i panny dworskie, zeskoczywszy z koni, nadbiegły, nieme z przerażenia, do rannego młodzianka.

On zaś blady, cały zalany krwią tura i własną, podniósł się nieco, spróbował wstać, ale zachwiał się, upadł na kolana, wyrzucił krew ustami i ciemności objęły mu głowę. Otoczono go ze wszystkich stron, tarto śniegiem, wlewano wino do ust, wreszcie łowczy, Mrokota z Mocarzewa, rozkazał położyć go na opończy i tamować krew za pomocą miękkich hubek borowych.

— Żyw będzie, jeśli jeno ziobra, nie pacierze, ma połomione — rzekł, zwracając się do księżnej.

Wszelako inne dwórki zajęły się przy pomocy myśliwców ratunkiem pana de Lorche. Obracano nim na wszystkie strony, szukając na zbroi dziur lub wgięć, uczynionych przez rogi byka, ale prócz śladów śniegu, który wbił się między

pod brzuchem wszystkie swe wnętrzności, pan de Lorche zaś nie był ugodzon. Omdlał tylko wskutek upadku — i jak się pokazało później, rękę prawą miał ze stawu wybitą. Teraz jednak, gdy zdjęto mu hełm i wlano do ust wina, wnet otworzył oczy, oprzytomniał — i widząc pochylone nad sobą zatroskane twarze dwóch młodych dwórek, rzekł po niemiecku:

— Pewniem już w raju i aniołowie są nade mną?

Dwórki nie zrozumiały wprawdzie tego, co powiedział, ale rade, że ożył, poczęły się do niego uśmiechać i przy pomocy myśliwców podniosły go z ziemi, on zaś jęknął, poczuwszy ból w prawej ręce, lewą wsparł się na ramieniu jednego z „aniołów" — i przez chwilę stał nieruchomo, bojąc się kroku postąpić, gdyż nie czuł się pewny w nogach. Zaczem powiódł mętnym jeszcze wzrokiem po pobojowisku: ujrzał płowe cielsko tura, które zblizka wydawało się potwornie wielkie, i Zbyszka na opończy.

— Ten to rycerz przybył mi z pomocą? — zapytał. — Żywy-li?

— Ciężko pobit — odpowiedział jeden z umiejących po niemiecku dworzan.

W tej chwili książę zbliżył się do niego i począł go wysławiać: że swoim śmiałym postępkiem ochronił od srogiego niebezpieczeństwa księżnę i inne niewiasty, a może i życie ocalił — zaco prócz rycerskich nagród, otoczy go chwała.

Rozpływało się od takich słów chciwe na sławę serce pana de Lorche. Rozumiał on, że rycerz, który na dworze Brabanckim lub Burgundzkim będzie mógł opowiedzieć, iż na łowach ocalił życie księżnie Mazowieckiej, będzie chodził w chwale, jak w słońcu. Ale tymczasem wszyscy zajęci byli Zbyszkiem, który oprzytomniał na chwilę i zaraz powtórnie omdlał. Doświadczeni łowcy, widząc, jak zawarły się przytem jego ręce, a usta pozostały otwarte, mówili między sobą, że nie wyżyje, lecz doświadczeńsi jeszcze Kurpie, z których niejeden nosił na sobie ślady niedźwiedzich pazurów, dziczych kłów, lub żubrych rogów, lepszą czynili nadzieję, twierdząc, że róg tura obsunął się między żebrami rycerza, że może jedno z nich, albo dwa są złamane, ale krzyż cały, gdyż inaczej nie mógłby się młody pan ani na chwilę przypodnieść. Pokazywali też, że w miejscu, gdzie upadł Zbyszko, była jakby zaspa śnieżna, i to właśnie go ocaliło — albowiem zwierz, przycisnąwszy go międzyrożem, nie podołał zgnieść mu do szczętu piersi, ni krzyża.

I okazało się, że Kurpie mieli słuszność.

Rolnictwo w Polsce.

Stan posiadania ziemi. Rozdział ziemi pomiędzy posiadaczy tak się przedstawia, że wielka własność, pominąwszy tu Śląsk niedawno przyznany i ziemię Wileńską, posiadała przed wojną przeszło 12 mil. ha ziemi, w blisko 20.000 gospodarstw, podczas gdy mała własność posiadała okrągło 16 mil. ha ziemi w 2.631.000 gospodarstw małych. Jeżeli pominiemy lasy, to z całego obszaru państwa przypadało w Polsce na wielką własność $^3/_8$, a na małą własność $^4/_8$ ziemi rolnej.

Rozmieszczenie wielkiej własności jest następujące. Cały wschód oraz woj. lubelskie, łódzkie i śląskie mają więcej niż 30 proc. województwa zajętego przez wielką własność. Natomiast województwa lwowskie, kieleckie i poznańskie mają 25—30 proc. powierzchni województwa zajętej przez wielką własność. Tylko w woj. pomorskiem, białostockiem (drobna własność szlachecka), oraz stanisławowskiem i krakowskiem zajmują wielkie gospodarstwa mniej niż 25 proc. powierzchni.

Mała własność jest najliczniej reprezentowana, gdy chodzi o liczbę małych gospodarstw, w woj. lubelskiem, kieleckiem, krakowskiem, lwowskiem, czyli w dawnej Małopolsce. Ponieważ tu właśnie ludność jest wogóle liczna, a ludność rolnicza bardzo gęsta, przeto mamy tu do czynienia z przeludnieniem kraju ludnością małorolną. Tu leżą główne polskie obszary emigracyjne. W związku z tem pozostaje zjawisko t. zw. gospodarstw karłowatych, t. j. zamałych, ażeby rolnik mógł wraz z rodziną z gospodarstwa swego wyżyć. Jeżeli za takie gospodarstwa uważać będziemy gospodarstwa o powierzchni mniejszej niż 2 ha ziemi, to województwa zachodnie i Małopolska posiadały na 100 podobnych gospodarstw w województwie aż 40—60 takich jednostek gospodarczych, województwa łódzkie, kieleckie i warszawskie miały ich 20—40, podczas gdy województwa wschodnie posiadały w każdym razie mniej niż 20 gospodarstw lilipucich.

Istnienie gospodarstw karłowatych w zachodniej i południowej Polsce, a brak ich na wschodzie Polski, przy równocześnie silnie na wschodzie reprezentowanej wielkiej własności, stwarza szczególne warunki do rozwiązania tej nierówności w ten sposób, że mała własność ze zachodu może się rozwijać dzięki wielkiej własności głównie na wschodzie.

Rozwiązanie kwestji agrarnej w Polsce zachodniej i środkowej nie da się pomyśleć bez przesilenia się ludności rolniczej z tych ziem do ziem wschodnich. Kolonizacja jednak ziem wschodnich iść musi w parze z meljoracją i osuszaniem owych ziem, przez co ilość ziemi pod uprawę znacznie się powiększy. Niedostatecznie wyzyskane torfowiska i łąki, oraz złoża rudy bagiennej ulegną wówczas dopiero intensywnej eksploatacji.

Zmiany w posiadaniu ziemi. — Parcelacja, kolonizacja, reforma rolna. Przeludnienie wsi polskiej ludnością rolniczą, skłania z konieczności społeczeństwo do pewnych zmian w stanie posiadania ziemi. Zmiany te odbywają się albo dobrowolnie, wskutek procesu rozprzedaży wielkiej własności pomiędzy drobnych posiadaczy, co zowie się parcelacją, albo drogą przymusową, zorganizowaną przez państwo, jak to się działo na ziemiach b. zaboru pruskiego, gdzie pruska komisja kolonizacyjna kolonizowała odebraną niekiedy właścicielom, częściej zaś od nich podstępnie wykupioną, ziemię. Do przymusowej sprzedaży wielkiej własności prywatnej czy publicznej i zamienienia jej na żywotne gospodarstwa wiejskie dąży również uchwalona przez Sejm ustawodawczy (w r. 1920) reforma rolna. Obok reformy należy jeszcze wymienić osadnictwo wojskowe na kresach.

Proces parcelacji odbywa się w Polsce od dość dawna bez przerwy. Bez przerwy wielka własność zmniejsza się, a nawet zanika w pewnych okolicach, a mała własność się powiększa. Już po wojnie (w latach 1919—1921) rozparcelowano 1679 majątków o obszarze 264.000 ha (najwięcej w woj. lubelskiem i tarnopolskiem). Własność komisji kolonizacyjnej, która w rezultacie i mimo gwałtu wykazała wyniki niezbyt korzystne dla niemczyzny, stała się własnością państwa i ulega podziałowi pomiędzy polskich nabywców. Tak samo nie udała się akcja Banku Włościańskiego, popierana przed rząd rosyjski, a mająca na celu popieranie kolonizacji rosyjskiej w Polsce. W związku z reformą rolną wykupiono w r. 1921—23 majątki o 7.448 ha i przystąpiono do ich parcelacji. Najwięcej majątków zakupiono w woj. krakowskiem, następnie w lubelskiem i warszawskiem. Na osadnictwo wojskowe na kresach wschodnich przeznaczono 390.000 ha i rozdzielono w 1923 r. 120.000 ha pomiędzy 2.600 osadników wojskowych.

Odwiecznym terenem kolonizacyjnym polskim są kresy wschodnie. Jak z poprzedniego przedstawienia wynika, wielka własność jest tu reprezentowana bardzo licznie, a mała własność posiada więcej i lepszej nieraz ziemi, niż mała własność na zachodzie Polski. Dodajmy do tego, że kresy wschodnie są bardzo rzadko zaludnione i nie wyzyskują ziemi należycie, a wówczas zrozumiemy, dlaczego właśnie Podole i Wołyń, krainy o bardzo żyznej ziemi, które mogą wyżywić o wiele liczniejszą ludność rolniczą niż żywią, i dlaczego woj. poleskie i nowogródzkie z ziemią ubogą, nieraz bagnista, ale bardzo rzadko zaludnioną i leżącą w wielu miejscach odłogiem, są najważniejszemi obszarami kolonizacyjnemi Polski. Nie wykluczając wcale miejscowej ludności polskiej i ruskiej od udziału w nabywaniu ziemi, możnaby tu znaleźć miejsce dla wielu osadników z przeludnionych rolniczo okolic woj. krakowskiego i zachodnich województw b. Królestwa Polskiego. Interes narodowy polski zostanie zaś w ten sposób zabezpieczony, gdy żywioł tubylczy polski, skazany częstokroć na wynarodowienie, zostanie przez napływ nowych sił wzmocniony i zabezpieczony.

Rolnicze użycie ziemi. W warunkach naszkicowanych powyżej, rolnik polski wyzyskuje ziemię nierównomiernie. Województwa północno-zachodnie (pomorskie, poznańskie, łódzkie, warszawskie), jakoteż woj. tarnopolskie mają przeszło 55 proc. ziemi, zajętej pod uprawę roli, województwa południowo-zachodnie (lubelskie, lwowskie, kieleckie, krakowskie i śląskie) mają już tylko 45—55 proc. ziemi zajętej pod uprawę roli, woj. stanisławowskie, białostockie i cały wschód mają poniżej 45 proc. powierzchni swej, zajętej pod uprawę ról.

Z tego widać, że wyzyskanie ziemi dla celów rolniczych postępuje od zachodu, gdzie jest największe, ku wschodowi, gdzie się zmniejsza. Wielkie jest tylko na wschodzie w woj. tarnopolskiem, z powodu nadzwyczaj żyznej ziemi.

Obszary najintensywniejszej uprawy roli odgrywają w Polsce rolę śpichlerzy zbożowych (woj. poznańskie, Podole). Wyrównanie w użyciu ziemi na naszym wschodzie i na zachodzie, pociągnie za sobą tak potrzebne w Polsce wzmożenie produkcji i bardziej równomierny rozkład tejże.

Charakterystyczne światło na użycie ziemi rzuca także wydajność gruntów uprawnych w Polsce. Pod tym względem najwyżej stoją województwa zachodnie (poznańskie i pomorskie), które uzyskują przeszło 15 q z ha żyta i jęczmienia, a pszenicy przeszło 17.5 q z ha. W innych województwach Polski wydajność zbóż waha się od 9 do 13 q z ha. Wydajność ziemniaków waha się w całej Polsce od 80 do 120 q z ha i jest większa na zachodzie i na południu, niż w środku i na wschodzie Polski.

Produkcja rolnicza i hodowlana Polski. Celem pracy rolnika polskiego jest, od najdawniejszych czasów aż do dzisiaj, produkcja głównych zbóż, tak dostarczających chleba (żyto, pszenica), jak i niechlebowych (owies, jęczmień). Na dalszym planie stoją płody drugorzędne, czy te, które mają znaczenie odżywcze, a więc ziemniaki, hreczka, proso, kukurydza, czy też te, które mają znaczenie przemysłowe np. burak cukrowy, len, chmiel, rzepak i i.

Zboża zajmują mniej niż $^1/_5$ część powierzchni Polski. Wiele ziemi poświęca się uprawie ziemniaków (5%), o wiele mniej płodom drugorzędnym. Szczególnie kultura buraka cukrowego mogłaby być na południowym wschodzie Polski znacznie wzmożona.

W latach 1920 i 1921 oceniano w całej Polsce zbiory zbóż i ziemniaków jak następuje:

	żyto	owies	jęczmień	pszenica	ziemniaki
			w tysiącach q		
1920	18.711	18.733	8.397	6.189	180.963
1921	18.711	21.814	12.237	10.181	167.996

Pierwszem zbożem Polski jest żyto. Najwięcej się go uprawia na glebach polodowcowych, a więc w województwie poznańskiem i pomorskiem, potem w województwach centralnych Polski, oraz w woj. lwowskiem. Owies wykazuje większe zbiory w okolicach wyżynnych i podgórskich, więc w woj. lwowskiem, lubelskiem i warszawskiem, jęczmień w tych samych województwach, oraz w woj. poznańskiem i tarnopolskiem, pszenica zaś w woj. poznańskiem, warszawskiem, kieleckiem, lubelskiem, krakowskiem, lwowskiem i tarnopolskiem.

Polska powraca powoli do swojej produkcji przedwojennej. Tylko pszenicy uprawia się jeszcze ciągle znacznie mniej niż przed wojną. Wymaga ona bowiem nietylko specjalnych warunków uprawy, ale przedewszystkiem żyznej gleby.

Buraki cukrowe uprawia się głównie w woj. poznańskiem i pomorskiem, następnie w woj. warszawskiem i lubelskiem.

Len i konopie, hreczka i proso udają się w dużej ilości na wschodzie Polski, kukurydza trzyma się okolic naddniestrzańskich.

Przemysł rolniczy, związany ściśle z produkcją rolniczą, stoi najwyżej w ziemiach zachodnich i centralnych. Z przeszło 800 gorzelni w latach 1920/21 (w r. 1913 było w Polsce 2400 gorzelni), wyrabiających spirytus (około 0.5 mil. hl), około 600 znajduje się w województwach zachodnich Polski (w poznańskiem i pomorskiem). Tam również wyrabia się najwięcej piwa (trzecie miejsce w produkcji piwa zajmuje woj. krakowskie).

Z 67 cukrowni w Polsce było w woj. warszawskiem 21, w poznańskiem 18, pomorskiem, łódzkiem i lubelskiem po 6, w kieleckiem 4, a w woj. lwowskiem tylko 2. Razem wyprodukowano cukru w r. 1920/21 1,5 mil. q (przed wojną około 6 mil. q w 88 cukrowniach).

Hodowla zwierząt domowych przedstawia się w cyfrach przedwojennych i powojennych w mil. sztuk jak następuje:

	bydło	konie	trzoda chlewna	owce i kozy
rok 1910	8.4	3.4	5.2	4.3
rok 1921	7.9	3.2	5.2	2.2

Widać z zestawienia, że produkcja hodowlana powróciła naogół do cyfr przedwojennych. Wyjątek stanowi tylko ilość bydła rogatego i owiec, która bardzo spadła. Najwięcej bydła wykazuje w r. 1921 woj. poznańskie, krakowskie i lwowskie (30—40 sztuk na km²), o wiele mniej (10—20 sztuk na km²) woj. wołyńskie, białostockie i nowogródzkie, najmniej (1—10 na km²) woj. poleskie, jakkolwiek tu na wschodzie ma Polska rozległe obszary łąk, dostarczających wyborowego siana.

Lecz stosunek do powierzchni nie jest tak typowy, jak stosunek do cyfry ludności. Tu się bowiem pokaże, że woj. poleskie bardzo obszerne, lecz mało ludne, ma powyżej 400 sztuk bydła na 1000 mieszkańców. Cyfrę taką znajdujemy tylko w woj. poznańskiem i pomorskiem. Najmniej bydła w takiem zestawieniu (250—300 sztuk na 1000 mieszk.) wykazuje woj. tarnopolskie (zniszczone wojną), kieleckie, łódzkie i śląskie.

Ilość koni w stosunku do powierzchni jest najwyższa w woj. lwowskiem i tarnopolskiem (powyżej 13 na km²), średnia w woj. wołyńskiem, lubelskiem, kieleckiem, łódzkiem i poznańskiem (10—13 koni na km²), najmniejsza w woj. śląskiem, stanisławowskiem i na północnym wschodzie Polski (2—3 koni na km²). Inaczej przedstawi się rzecz, gdy zestawimy ilość koni w stosunku do zaludnienia. Wówczas najwięcej koni przypadnie na woj. wołyńskie (200—250 sztuk na 1000 mieszk.), drugie miejsce zajmą woj. tarnopolskie, lubelskie, białostockie, nowogródzkie i pomorskie (150—200 koni na 1000 mieszkańców), najmniej (poniżej 50 koni na 1000 mieszkańców) zaś koni w stosunku do zaludnienia wykazuje woj. śląskie. Inne jest rozmieszczenie trzody chlewnej w Polsce. Wprawdzie nigdzie tej hodowli nie brak, jednak najwięcej nierogacizny hoduje się w woj. śląskiem, poznańskiem i pomorskiem, więc w ziemiach zachodnich, w których przypada ponad 30 sztuk na km². Wszystkie inne ziemie polskie, a zwłaszcza północny wschód, wykazują znaczne obniżenie tej hodowli.

Obraz uprzednio naszkicowany przekonywa, że nie brak w Polsce ani zwierząt pociągowych, ani bydła mlecznego, czy tucznego. Przytem hodowla staje się coraz bardziej racjonalną. Wyzyskanie nabiału przez gospodarstwa czyni szybkie postępy (wyrób masła i serów). Dodać należy, że rozpowszechniony jest szeroko chów drobiu, tak, że jaja wywozi się w dużej ilości.

Wykupienie ciała św. Wojciecha.

Gdy św. Wojciech zamordowany został przez Prusaków, którym niósł światło nauki Chrystusa, Bolesław Chrobry postanowił wykupić ciało męczennika i złożyć w Gnieźnie, w kosztownym grobowcu.

Tym sposobem pragnął oddać cześć świętemu i pozyskać jego błogosławieństwo dla kraju.

Posłał więc rycerzy z bogatymi dary w złocie, srebrze, tkaninach, broni. Złożono je na wadze, a na drugiej szali zwłoki świętego.

Ku zdumieniu jednak chrześcijan i pogan szala ze złotem i srebrem podniosła się w górę, jakby nic nie ważyła w porównaniu z ciałem męczennika.

Dorzucają na nią, co kto ma przy sobie, ale daremnie: to są tylko dary, ofiara przecież więcej u Boga ma znaczenia, więcej nieskończenie waży.

Jakże więc spełnią rozkaz swojego monarchy?

Wtem wysuwa się z tłumu uboga wdowa, chrześcijanka. Tak gorąco pragnęła, by ciało świętego wykupione zostało z rąk niewiernych i uczczone pogrzebem chrześcijańskim, — tak gorąco tego pragnęła! Gdyby miała skarby, oddałaby je za nie, oddałaby tak chętnie, — możeby przeważyły szalę? Ale nic nie ma. Oto dwa pieniążki, cały jej majątek; dwa pieniążki, w ciężkim trudzie zarobione, może na chleb dla dzieci, — niech je Bóg przyjmie, bo więcej nie nie ma; oddałaby przecież choćby życie własne, gdyby potrzebne było.

Rzuca małe pieniążki na szalę pełną złota, — niewielka to ofiara, ale prosto z serca, a Bóg serca nasze ocenia.

I oto cud!

Szala ze złotem opada, opada do samej ziemi. Zdejmują srebro, złoto, dwa pieniążki wdowy mają tę samą wagę co ciało świętego, bo także są ofiarą.